

OLKAZ

Literatura o Kazimierzu

No1

ŁUKASZ ORBITOWSKI

LUKASZ ORBITOWSKI

KOBRA PRZEGRYWA W BUTELKĘ

1

Niedługo północ. Mamy czas na
jeszcze jedną opowieść.

Chcecie posłuchać o prawdziwym Kazimierzu?

Po to przyszlście, prawda? W porządku.
Ale jeśli liczycie na historyjki o synagogach,
o monstrancji skradzionej z kościoła Bożego
Ciała, o królach i Esterkach, jeśli macie
smaka na piwo w Alchemii zagryzane
zapieksem albo gęsią wątróbką przy muzyce
klezmerów – trafiliście pod zły adres.

2

Obiecałem wam prawdziwy Kazimierz i taki dostaniecie. Chodźcie ze mną. Noc wciąż młoda.

Widzicie ten wielki budynek z czerwonej cegły? W czasie wojny był tutaj obóz przesiedleńczy, przystanek przed Płaszowem, no a po wojnie zrobili szkołę. Właściwie dwie, podstawówkę i ogólniak, bo wtedy tylko to było. Potem do podstawówki doklejono gimnazjum, by wreszcie zlikwidować jedno z drugim. Ogólniak chyba ciągle tu działa, ale podstawówki już nie ma. Była potrzebna, a teraz nie jest. Zostały czarne okna. Ktoś się o to upomni, coś tu kiedyś zrobią, ale już nie dla dzieci.

W każdym razie tutaj się uczyłem, do osiemdziesiątego dziewiątego roku. Naprawdę, dało się żyć. Zajrzyjmy od strony Wawrzyńca. Widzicie tam, za murem? Było tam boisko, takie betonowe, nam nie przeszkadzało i rznąliśmy w nogę na przerwach. Mieliśmy też tasiemce w formalinie, w sali od biologii, i masę pamiątek z drugiej wojny w Izbie Pamięci Narodowej: broń, zdjęcia z Płaszowa, mydło z człowieka, takie rzeczy.

Miałem wielkie szczęście, bo nigdy nie byłem głodny. Matula podawała kawę w Krakowskim Przedsiębiorstwie Budownictwa Ogólnego na Bohaterów Getta, a tato, cóż, czasem trochę przyhandlował na Żydzie, ale głównie to grzał kanapę u nas, na Dajworze. Niespecjalnie pił, po prostu należał do tych, którzy wolą siedzieć w domu niż w robocie. A, mówię na Żydzie, bo plac Nowy naprawdę nazywa się Żydowski, nie dajcie sobie wmówić niczego innego.

Na Kaziku niespecjalnie się przelewało. Były, owszem, bogate dzieci, ale większość bogata nie była i wielu dorastało szybciej niż gdzie indziej. Tylko w jednym roku mieliśmy dwie dziewczyny z brzuchem. Kasę kołowało się na własną rękę. Ja taki nie byłem, zawsze trzymałem się z boku, a mówię o tym, byście wiedzieli, że nie każdy miał czas i ochotę się uczyć. Czasem i mądre chłopaki nie bardzo chodzili do szkoły. Nauczyciele mieli z takimi zgryz, chcieliby się ich pozbyć, tylko nie zawsze się dało i taki delikwent zostawał na drugi rok. Niektórzy kiblowali i po trzy razy. Kobra był jednym z nich.

Tu, na Wolnicy, nie było ani tych wegańskich burgerów, ani knajpy z bieszczadzkiem piwem wędzonym, ani nawet tej włoskiej kawiarenki, w sumie to nic nie było, tylko parking i Pewex, gdzie mogliśmy popatrzeć sobie na słodycze. Przy tej studzience paru chłopaków miało przedsiębiorstwo. Myli samochody. A jak ktoś nie chciał umytego, charat szkłem przez maskę. Nic dziwnego, że nie wszystkim odpowiadała taka działalność gospodarcza i ktoś kiedyś urwał pompę przy studni. Musiał się srogo namęczyć. Pewno użył haka holowniczego, przynajmniej tak mi się zdaje, i było po przedsiębiorstwie. A Kobra mieszkał tutaj, na rogu z Bocheńską. O tym, jak żył i z kim, dowiedziałem się potem.

Skąd Kobra, łatwo się domyślić. Gdy przyszedł do nas do ósmej klasy, miał szesnaście lat i ze wszystkich sił próbował wyglądać jak Stallone, choć nie miał ani takiej kurtki, ani takich okularów. Nosił jednak wranglera i najki, do tego flejersa na zmianę z dżinsową kurtką, i palił camele na każdej przerwie. Nie mieliśmy pojęcia, skąd ma na takie rzeczy, no ale o Kobre niewiele było wiadomo. Pierwszego września przyszedł do sali i zaraz rozwalił się na dwóch krzesłach. Nauczycielka nie śmiała zwrócić mu uwagi, a żaden z nas – usiąść obok niego. Nie sprawiał zbyt wielu kłopotów. Po prostu rzadko się pokazywał. Pytany o usprawiedliwienie reagował wzruszeniem ramion, a wezwany do odpowiedzi stał i czekał, aż zarobi pałę i pozwolą mu wrócić na miejsce.

Starsze chłopaki lubiły się na nas wyżyć, zwłaszcza gdy ktoś nie radził sobie w kosza czy w nogę. Ja obrywałem, bo nosiłem okulary, sepleniłem trochę, ale nigdy nie zdarzyło mi się nic strasznego. Wypluwali na nas przeżuty chleb, podtapiali w kiblu i zamykali w kantorku ciecica Hadały, a raz taki jeden wylał na łeb kujona Kuby tasiemca razem z formaliną. Kobra też tak robił, gdy był młodszy, teraz dał nam spokój. Byliśmy dla niego dziećmi, sam uważał się za dorosłego. Pijał czasem piwo w Bawarii na Meiselsa, widywano go też z dziewczynami, jedno

i drugie rzadko. Nikt nie wiedział, co właściwie Kobra robi i czemu znika na całe dnie.

Przejdźmy kawałek. Wiem, że chodzimy tam i z powrotem. Nie oprowadzam was szlakiem zabytków, lecz naszej opowieści, a opowieść właśnie tak się wije i czasem trzeba minąć miejsce, w którym byliśmy już wcześniej. Przejdźmy więc Wawrzyńca i Wąską wzdłuż szkoły, kawałek dalej i już mamy synagogę. Wtedy nie wiedziałem nawet, że to synagoga. Był to kamienny mur przykryty zgniłym drewnem. Siadywaliśmy tutaj po lekcjach i na przerwach, najczęściej nie tutaj, ale od strony Dajworu. Zobaczcie zresztą, ten kawałek Kazika wygląda niemal tak jak wtedy, tylko tego zadaszienia nie było. Siedzieliśmy na murku, paliliśmy papierosy, robiliśmy bomby z karbidu i laliśmy się po pyskach.

W ten pamiętny dzień łomot spuścił mi Konrad z równoległej klasy. Drażniło go moje seplenienie. Nigdy nie byłem zbyt mocny. Podbił mi oko, poprawił w brzuch i sobie poszedł. Wróciłem na murek, czułem, jak gęba mi puchnie, i myślałem tylko o tym, jak następnym razem przywalę Konradowi. Obok usiadł Kobra. Nawet nie wiem, skąd się wziął. Ubił sobie camela i zaczął palić, zerkając w moim kierunku. Powiedział, że też niedawno oberwał po gębie. Grał w butelkę i jedna dziewczyna miała takie cycki, że jak nimi machnęła, niby przypadkowo, jak tym cyckiem dostał, zobaczył wszystkie gwiazdy. Skończył papierosa i sobie poszedł. Zostałem oszołomiony i wcale nie myślałem o bójce.

W domu miałem niemiecką gazetę pornograficzną, zaczytane *Pamiętniki Fanny Hill* schowane za łóżkiem i nic więcej. Nigdy się nie całowałem, o wsadzeniu dłoni pod bluzkę koleżanki nie było nawet mowy. Wiedziałem, że koledzy już coś tam przeżyli. Puszyli się, przechwalali. W słowach Kobry było coś innego, jakaś pewność siebie, nonszalancja, on grał w butelkę tak po prostu, biorąc wielkie cycki za oczywistą część swojego dorosłego świata. Tej nocy nie mogłem zasnąć. Myślałem tylko o Kobrze, o tych cyckach i nieprzekraczalnym dystansie między nami.

Zaczęło się od łyżki, takiej starej i srebrnej, z bogato zdobioną rączką i z miseczką większą od mojej dłoni. Nie miałem pojęcia, jak coś takiego można wpakować sobie w usta. W kieszeni mieściło się, chociaż z trudem.

Kobra podpierał mur właśnie w tym miejscu, pod kościołem Bożego Ciała, gdzie mieliśmy też salki katechetyczne. Jemu jednak Pan Bóg nie był w głowie. Trzymał camela w ustach i szukał ognia po kieszeniach, a im dłużej nie mógł znaleźć, tym bardziej się denerwował. Akurat go mijałem, gdy wykonał zbyt prędko ruch ręką i ta wielka, z pewnością bardzo droga łyżka wypadła mu z kurtki i brzęknęła o chodnik, tuż obok mnie. Schyliliśmy się po nią jednocześnie. Kobra był szybszy.

Wejdzmy tutaj, za kościelny mur. Przysiągłbym, że ten drewniany krzyż stał w trochę innym miejscu, co nie ma żadnego znaczenia. W dzień pełno tutaj ludzi. Wtedy mało kto przychodził. Kobra chwycił mnie za fraki, przyparł do muru, o tutaj, w tym miejscu i rzekł, że jeśli komukolwiek powiem o łyżce, to mnie zapierdoli. Miał straszne oczy. Dziś wiem, że takie mogą należeć do człowieka, który bardzo się boi. Musiałem jednak to czuć, bo zrobiłem coś, czego do końca nie mogę zrozumieć. Nigdy nie byłem odważny. Zawsze schodziłem z drogi i robiłem to, czego oczekiwali ode mnie silniejsi. Poza tym jednym przypadkiem. Musiało bardzo mi zależeć. Kobra mną potrząsał, a ja wydusiłem z siebie, że będę milczał pod jednym warunkiem. Musi mnie zabrać na grę w butelkę.

Wiecie, na czym polega taka zabawa? Rety, jak można tego nie wiedzieć! Wy chyba w ogóle z życiem to tak średnio. Więc siada się w pięciu, w siedmiu, w iluś, do kółeczka. Ważne, żeby były chłopaki i dziewczyny, najlepiej po równo. Jedno kręci butelką, a ten, ta, na kogo wskaże szyjka, musi zdjąć z siebie jeden ciuszek. Butelka wiruje,

aż ktoś nie zostanie całkiem goluchny. Oczywiście gra wymaga pewnej kultury, nie wolno na przykład śmiać się z przegranych, co wytłumażył mi Kobra zaraz po tym, jak skończył mnie bić.

Najpierw chyba myślał, że żartuję, bo przydzwonił mi kontrolnie i kazał spierdalać. Ostrzegłem go: powiem wszystkim o łyżce. No to walnął na całego. Ja swoje. I tak mnie bił. W szczękę, pod oko i w brzuch, wreszcie w splot słoneczny. Leżałem, skulony i walcząc o oddech, wykrztusiłem: chcę zagrać w butelkę.

Nie byłem twardym dzieckiem i bardzo bałem się bólu. Kobra złałby mnie, gdyby tylko docisnął, gdyby skakał po gardle, skopał jaja, gdyby walnął moim łokciem o chodnik, albo po prostu okładał po gębie z całą parą, jaką miał w łapach. Tylko tego nie zrobił, sprzął mnie uczciwie i odpuścił, zamiast posunąć się dalej. Przyklęknął, przyglądając mi się przez chwilę, rzekł coś w stylu: „Ech, kurwa, chuj z tobą”, i poszedł. Następnego dnia po lekcjach czekał na mnie przed szkołą, w tych swoich wranglerach, z flejersem narzuconym na plecy, jak płaszcz. Zamiast najków miał glany, a w nich białe sznurówki.

Pójdźmy dalej. Muszę wam powiedzieć, że chyba nigdy wcześniej nie byłem taki podekscytowany i przestraszony jednocześnie. Kobra ustąpił. Moim zdaniem chciał mieć mnie jak najszybciej z głowy i postanowił zabrać na grę w butelkę. Zrozumiałem, że za chwilę trafię do pomieszczenia, gdzie rozpija się bełty i pali papierosy, dziewczyny mają farbowane włosy i długie paznokcie, gra głośna muzyka, a ściany zdobią plakaty z Ronnie Jamesem Dio i Arnoldem Schwarzeneggerem. Zaraz przestraszyłem się, że przegram i te piękne dziewczyny o wielkich piersiach i kolorowych paznokciach wyśmieją moje chude ciało. Później przyszedł lęk jeszcze gorszy: Kobra skończy, co zaczął, zatłucze na śmierć, ciało wyłowią z Wisły.

A zaciągnął mnie tutaj. Ten apartamentowiec stoi tu chyba od wczoraj i ktoś nad nim naprawdę pomyślał. Jak przejdziemy na drugą stronę Krakowskiej, to zobaczycie, jakie to sprytne. Obniżyli kawałek

budynku, by nie zasłaniał kościelnej wieży. Jakby nie była to kościelna wieża, tylko dom z ludźmi, toby zasłonili. Ani ja, ani Kobra nie wiedzieliśmy, co to takiego apartamentowiec, zresztą nie stał tutaj żaden budynek, tylko plac zabaw, zarosnięty trawą po pas, z zardzewiałą zjeżdżalnią, karuzelą, która nie chciała się kręcić, i dwiema huśtawkami na łańcuchach. Kobra kazał mi usiąść na jednej z nich i poprosił, jak to nie on, żebym opowiedział coś o sobie.

Zapomniałem języka w gębie. Czym taki szczaw mógł zaszpanować Kobrze, który miał już wąsy i bez krępacji palił camele? Powiedziałem, że często chodzę do kina, widziałem już *Komando*, *Poszukiwaczy zaginionej Arki*, oczywiście *Cobrę*, a na *Crittersach* byłem aż cztery razy. Kobra słowem się nie odezwał, tylko podsunął camela. Nie śmiałem odmówić. Wiecie, jak jest, pierwszy papieros, ciumkałem bez zaciągania się. Zdążyłem opowiedzieć, jak czasem zachodzę do budy z automatami na Dietla, żeby pograć trochę w *Ghosts'n Goblins*. Zaniepokojony milczeniem zmieniłem temat i zapytałem Kobrę, czy zna lodowisko na Siedleckiego, bo super tam jest, a Kobra powiedział, że nie rozumie, o czym mówię. Powtórzyłem o lodowisku, wytrącił mi camela. Powiedział, że mam wypluć kluski z gęby i ewentualnie wrócić.

Wiecie, w tamtych czasach rodzice przejmowali się dziećmi nieco mniej niż dzisiaj. Nie można się o to złościć, takie po prostu było życie. Matula pracowała na Bohaterów Getta, czasem w weekendy brała jakieś sprzątanie ekstra i miała cały dom na głowie. Wspomniałem o tym, że była nas, dzieci, czwórka? Ojcu z kolei moje seplenienie mało przeszkadzało, bo nie słuchał ani mnie, ani nikogo. Szkolny lekarz bardzo się zdziwił, że przyszedłem do niego bez rozwalonego nosa, złamanej ręki i czterdziestu stopni gorączki. Pogratulował mi dojrzałej decyzji, wypisał skierowanie do logopedy na Estery, a ja poczułem się winny.

Dostałem kilka czytanek i plastikową rurkę, przez którą miałem dmuchać do szklanki z wodą, przez piętnaście minut rano i wieczó-

rem. Przysięgałem sobie, że rozciągnę to do godziny. Nie macie jednak pojęcia, jak takie dmuchanie może zmęczyć. Tato kwękał trochę, że bulgoczę, mama go uciszała. Dziwiła się tylko, jakim cudem zabrałem się za siebie.

Raz w tygodniu zagadywałem do Kobry, tak półgębkiem, żeby nikt się nie domyślił, że coś nas łączy. Kobra traktował mnie jak powietrze. Po staremu: siadał, ubijał camela i palił powoli, patrząc przed siebie nieruchomym wzrokiem. Rzucałem w jego kierunku parę zdań, pełnych słów świszczących i trzeszczących, jak świntuch albo świecidełko. Chciałem, by usłyszał, że mówię już lepiej. Tylko patrzył, palił i milczał.

Nie byłem taki głupi, żeby go śledzić, jeszcze nie. Przecież by mnie zabił. Ale raz, gdy siedział i palił na murku, popędziłem tutaj, na róg Bocheńskiej i Wolnicy, żeby zobaczyć, jak mieszka. Nikt jeszcze nie słyszał o żadnych domofonach. Na klatce schodowej panowała ciemność, śmieci, śmieci wysypywały się z blaszanych kubłów na podwórku, śmierdziało szczyną, pod butem trzeszczało szkło. Nic nowego. Mniej więcej tak wyglądała co druga klatka na Kaziku. A, jeszcze napisy, nie takie ładne, kolorowe, jakie teraz robią, tylko taka siatka złych liter, ściśniętych, ponakładanych na siebie, ostrych jak noże, „Małota pedał”, „Wiśła kurwy nie zejdziemy na psy”. Właśnie tak wyglądała ściana na piętrze, gdzie poszedłem.

Zastukałem, trochę ze strachem, bo drzwi wyglądały, jakby zaraz miały się rozpaść. Myślicie, że dzwonek działał? Otworzyła kobieta, właściwie taki gnom z obwisłą skórą na przedramionach, i zapytała, czego chcę. Bez przerwy wpychała sobie kciuk do czarnych ust. Zapytałem, czy jest Kobra, to znaczy, użyłem jego prawdziwego imienia, usłyszałem, że syna nie ma i nie wiadomo, kiedy wróci. Nigdy nie wiadomo, tak powiedziała. Pachniało zupą i mokrym praniem. Zanim kazała mi zjeżdżać, zobaczyłem jedyny pokój z kuchenką elektryczną w rogu, dwoje skołtunionych brzdąców, stół z drzwi i rząd materacy ułożonych pod ścianą, na której wisiał plakat z Sylwestrem Stallone.

Wtedy sądziłem, że Kobra przetrzymał mnie wieczność. Dla nastolatka dzień czekania jest jak rok. Po latach myślę, że przez rurkę dmuchałem najwyżej parę tygodni, gdy Kobra – który zmienił spodnie wranglery na lee i szpanował jedwabną koszulą we wzory – wziął mnie na bok i powiedział, że dziś przejdziemy się nad Wisłę.

O kładce, na której teraz stoimy, nikomu nawet się nie śniło. Zresztą, kto o zdrowych zmysłach pchałby się na Podgórze? Nie chcieliśmy mieć z nimi nic wspólnego, nawzajem zresztą. Z okrętów – przy brzegu stał tylko ten jeden. Nie pływały żadne stateczki, a normalni ludzie chodzili bulwarami wyłącznie w dzień i tylko na tym odcinku, mniej więcej od mostu Powstańców Śląskich do Wawelu. Za mostem, w stronę Dąbia i Huty, ale jeszcze przed progiem wodnym, ciągnął się kawał dziczy, gdzie hippisi wstrzykiwali sobie kompot, a dziwni faciowie kręcili się, niby bez celu, z kieszeniami pełnymi snickersów z Pewexu. Możecie się dziwić, ale tacy naprawdę byli, i to nawet w prochowcach. Wystarczyło zejść tam, pod wiadukt i zawsze się na jakiegoś trafiło.

Myśmy oczywiście pod żaden wiadukt nie poszli. Kobra zatrzymał się tam, naprzeciw dzisiejszej Galerii, gdzie była po prostu łączka, nic więcej. I jak mnie wziął w obroty! Pompki, ze zmianą rozstawu dłoni, raz szeroko, raz wąsko. Wykroki! Przysiady! Brzuszki! Wbieganie na schody, te kamienne, wzdłuż wałów, po dziesięć, po piętnaście razy, bez żadnego odpoczynku. Wyszukał gałąź i chciał, żebym się podciągał, co raczej słabo mi szło, właściwie tylko wisiąłem na rękach. Męczył mnie tak z godzinę, a sam tylko palił i kiwał nogami, siedząc na murku. Nie mogłem podnieść się z trawy, Kobra trącił mnie nogą i zapowiedział, że widzimy się jutro.

Raz nad Wisłą poprosił, żebym go uderzył. Obiecał, że nic mi nie zrobi, wyprowadziłem cios, a on uchylił się lekko, podciął mi nogi i docisnął gardło kolanem. Potem pomógł wstać i znów to samo, ale już

z instrukcją: nogi ugięte, jak ruszam w lewo, to też z lewej stopy, pięść przy podbródku, łokieć opuszczony, mięśnie na luz. Jezu, jak mi przydzwoił. I gdy tak leżałem, licząc wszystkie gwiazdy, przykucnął, popatrzył tak jakoś poważniej i rzekł, że mam przynieść pięć tysięcy złotych. Chyba na głowę upadł, myślałem, przecież to kupa pieniędzy, mama zarabiała może osiemnaście. Po co ci to, Kobra, pytałem. Co z naszym układem? Płacę za grę w butelkę czy za to szkolenie? Zbiorę szmal, to się dowiem, usłyszałem. Do tego czasu będziemy trenować po staremu.

Nie wzięliby mnie do mycia samochodów, matuś machnęła ręką, gdy tylko zacząłem o pieniądzach, a tato powiedział, że jak był młody, to cieszył się życiem bez grosza przy duszy. Miałem trochę komiksów o Kajku i Kokoszu, Tytusie, Bąbelku i Kudłaczku, do tego ze dwa Thorgale i prawdziwy skarb – zeszyt o Supermanie, amerykański i po angielsku. Próbowałem zabrać lornetkę teatralną. Niby była moja, a ojciec się nie zgodził. Do plecaka spakowałem też gumowe figurki z *Gwiezdnych wojen*, figurki żołnierzy, które sam malowałem, i jedyne-go Transformera, taki srebrny był, raz robot, a raz ciężarówka. Kupiłem go za wszystkie pieniądze z urodzin, pod Halą Targową. Pod Halą poszedłem go sprzedać.

Hala za daleko, tam nie dojdziemy. W tygodniu był targ warzywny, w niedzielę handlowano wszystkim, a łebki niewiele większe ode mnie kroili każdego, kto nie miał oczu dookoła głowy. Sprzedawali tam książki, komiksy, a także modele czołgów i samolotów, kasety i świerszczyki, których stopy obciążały drewniane stoły. O stole nie mogłem nawet marzyć. Przyszedłem o piątej rano, rozłożyłem się na ziemi i mniej więcej do południa pogoniłem wszystko. Został jeden komiks o kapitanie Żbiku, taki z grzbietem posklejany skoczem. Zabrałem go ze sobą, ale wyrzuciłem po drodze. Pomyślałem, że będzie głupio wyglądał, ten Żbik, na pustej półce.

Poszedłem do Kobry z tymi pięcioma tysiącami. Zapytał tylko, który mam numer buta. Przyniósł adidas, spodnie Calvina Kleina, jasnonie-

bieskie i używane, oraz koszulkę polo, która okazała się trochę za duża. Wskoczyłem w te ciuchy i poczułem, że nagle przybyło mi bezcennych lat. Kobra jednak kręcił głową. Zapytał, skąd wytrzasnąłem takie okulary, i kazał mi je zmienić. Wielkie, w cienkich, drucianych oprawkach upodobały mnie do smutnej muchy. Co z tego? Wszystko, co miałem, poszło na ubrania, okulary zostają, matka w życiu nie kupi mi nowych. Tak powiedziałem Kobrze, a on zdarł mi je z twarzy i podeptał.

– 5 –

Ojcu zawdzięczam dwie rzeczy. To dużo, nie myślcie, że na niego narzekam, bo z ojcami na Kaziku był głównie smród i gnój. Dzięki tacie wiem, że ludzi kochamy z jakichś tajemniczych powodów, w każdym razie nie za pracowitość, urok, dowcip, urodę albo kasę, bo tatuś nie miał żadnej z tych zalet, a matka skoczyłaby dla niego o stąd, z tego dachu. Już rozumiem, miłość to tajemnicza rzecz. Poza tym zabronił sprzedaży lornetki teatralnej, dzięki czemu dowiedziałem się, skąd Kobra ma kasę.

Nigdy nie zostaliśmy przyjaciółmi, Kobra i ja. Pilnował mnie przy pompkach, uczył ciosów i rozchodziliśmy się każdy w swoją stronę. No, ale mieszkaliśmy tutaj, chodziliśmy do jednej szkoły, wpadaliśmy na siebie, ludzie mówili różne rzeczy. Kobra często zachodził do kamienicy na Podbrzeziu, zaraz za Synagogą. Chodźmy więc.

Sam z siebie w życiu bym się tu nie zapuścił, to znaczy wtedy, bo teraz na Kazimierzu wszystko wolno. Tam o, w tej wielkiej plombie jest sobie technikum mechaniczne. Było i wtedy. To jedna z niewielu rzeczy, która ocalała, sam nie wiem, czy dobrze. Chłopaki stamtąd trochę przypominały Kobrę, tylko ubierali się w byle co i walili w pysk bez ostrzeżenia. Wiecie, co kojarzy mi się z Podbrzeziem? Mele i niedopałki. Mrowie petów i śladów zaschniętej śliny, miejsce w miejsce, na całej ulicy.

Kobra zniknął w kamienicy naprzeciwko technikum. Potrafił przesiedzieć tam i pół dnia. Czasem przychodził rano i siedział do południa,

czasem na wieczór, często tak i tak. Boże, jak ja się bałem, chodząc za nim. Pół roku wcześniej nie znalazłbym w sobie dość odwagi, wówczas jednak, licząc kroki, wyłapałem, że zachodzi na pierwsze piętro, chrzest zamków wskazał właściwe drzwi. Tam zaszedłem. Drzwi wyglądały jak do samego króla, zbrojone blachą, z zamkami sztuk cztery, za to bez żadnej wizytówki.

W życiu bałem się parę razy, ale nigdy tak bardzo jak tego popołudnia, gdy zerwałem się z lekcji i poszedłem na pierwsze piętro technikum mechanicznego. Nikt nie pilnował wejścia, inaczej niż teraz. Trwały lekcje, a ja i tak umierałem ze strachu, że natknę się na paru wyrosniętych chłopaków, którzy zaraz zapytają, co tutaj robię, i pobiją, Boże drogi, zamordują, nim wykrztuszę słowo. Brakowało wyjścia. Zobaczcie tylko. Tam widzicie okno mieszkania, w którym zniknął Kobra, tu mamy okna szkolnego korytarza, dokładnie naprzeciwno.

Przez lornetkę zobaczyłem chatę jak u hrabiny, z sekretarzykiem, toaletką i obrazami na ścianach. Hrabina siedziała na wózku, a na powykręcane palce za cholerę nie założyłbyś pierścionka. Wyglądała jak stary sęp, z taką długą szyją. Kobra przeniósł ją na łóżko pokryte folią, unosił te chude nogi w swoich wielkich łapach, masował ramiona, potem zmienił pieluchę, obmył plecy i uda, poprawił jej poduszkę pod głową, siadł z książką i zaczął czytać. Nie mogłem oderwać się od lornetki, bo w widoku Kobry czytającego na głos, starannie przewracającego strony było coś niecodziennego, jakby nagle dostał skrzydeł albo zaśpiewał sopranem. Pomyślałem sobie, że nic o nim nie wiem.

Dowiedziałem się za to o kobiecie. Ludwinowa jej było i kiedyś prowadziła sklep tekstylny na Krzyża, przy samym Rynku, wielka, wielka dama. Sowieci kazali zamknąć interes i Ludwinowa wylądowała w dyrekcji Domu Turysty, na Wielopolu, też niedaleko, a mieszkanie na Podbrzeziu dostała po mężu, plastyku, który jeszcze za Gierka przekręcił się od wody i może dobrze dla niego, bo Ludwinową dopadło stwardnienie rozsiane, z czym za komuny nie wiedziano, co robić. Nie

było żadnych Medicoverów, pielęgniarki mieli wszystko w dupie i Ludwinowa, uziemiona w przepięknych czterech ścianach, wylądowała na łasce tępych suk i młodych byczków, łaknących paru groszy. Kobra był najlepszym z tej całej bandy, co – jak wszystkie dobre sprawy – wyszło po latach, bez żadnej korzyści dla niego.

Ale i mnie zdarzyła się miła niespodzianka. Patrzyłem tak na rozczynanego Kobrę, aż nagle szarpnął mnie taki drab w zielonej kurtce wojskowej, zarośnięty, jeszcze z pryszczami. Zapytał, co tu, kurwa, robię, czy kręcą mnie staruszki. Odpowiedziałem tak, jak Kobra uczył: lewą go w tułów, krok w przód, prawa na kły i do widzenia.

– 6 –

Zagraliśmy tutaj, na Józefa. Jak widzicie, Kazik był wtedy malutki, bo wielkość nie zależy od przestrzeni. Teraz to ogromna dzielnica, ponieważ w każdej bramie znajdziecie sklep, knajpkę albo bilety do Oświęcimia. Te miejsca są jak szuflady albo kieszenie, więcej się mieści, lecz mniej można skryć. Gdy myślę o moim Kazimierzu, gdy wam o nim opowiadam, widzę, jaki był prosty, ot parę jasnych punktów w ruinach kamienic.

W bramie pachniało kurzem. Kobra poprowadził mnie po drewnianych schodach, a ja czułem się nagi, mimo nowych spodni i butów. Gospodarz był tłusty i miał długie włosy, kazał mówić na siebie Kris. Przybili sobie piątki, Kobra wskazał na mnie i rzekł coś w stylu: „To mój kumpel, o którym ci gadałem”. Też przybiłem piątkę i gdy wchodziłem do wielkiego pokoju, zawrót głowy niemal rzucił mną o podłogę: byłem kumplem, czyli kimś. I zaraz zagram w butelkę.

W szpary między podłogowymi deskami dało się wsadzić palec. Muzyka szła z czarnego magnetofonu Grundig. Na włączniku leżał kawałek kredy dociśnięty odważnikiem. Tylko wtedy grało. W rogu stało akwarium wielkie jak wanna, ze zrolowaną tapetą i dotleniaczem

w środku. Kris zaśmiał się, że jego ojciec kupił je rok temu, zaraz ma się za nie zabrać i po weekendzie wpuści rybki. Nie słuchałem.

W pokoju był jeszcze jeden facet i trzy dziewczyny. Jedna, taka chuda, z agrafką w nosie, cały czas mówiła, że czeka, aż jej wejdzie aviomarin. Druga miała kręcone włosy, rozplaszczony nos i czerwony sweterek, no a trzecią znałem z opowieści Kobry, w każdym razie biust rozpychał flanelową koszulę. Nazywała się Olga i była starsza ode mnie.

Byłem rozczarowany i zdziwiony jednocześnie. Odkorkowali wino, zamiast zacząć tę grę w butelkę. Nigdy wcześniej nie piłem jabcoka, nie smakował źle. Zastanawiałem się tylko, co powie mama, gdy wrócę do domu. Nie odzywałem się za wiele, ale każdy traktował mnie normalnie i wszyscy się śmiali, gdy powiedziałem coś zabawnego. W tym tkwiło źródło zdziwienia. Z każdym łykiem czułem się bardziej dorosły, poważny, wiedziałem, jak wyprowadza się kontrę, miałem džinsy Calvina Kleina, kolegów i koleżanki.

Wypiliśmy jabcoka, siedliśmy w kółku i butelka poszła w ruch. Należało kręcić nią mocno, tak by obróciła się przynajmniej pięć razy. Podchmielony, zalewany falami gorąca wyrzucałem sobie, że nie zapytałem o reguły gry. But, skarpetka, liczą się, gdy zdejmuje się po jednym, czy też nie? Problem rozstrzygnął Kris, który przegrał pierwszą rundę i rzucił oba klapki naraz. Przyszła moja kolej. Poprosiłem Boga, diabła i księdza katechetę, by długa droga, którą się przewlokłem, prowadziła do szczęśliwego końca. Trochę szczęście, trochę pech. Padło na tę chudą po aviomarinie. Myślałem, że rozsznuruje glany. W zamian zdjęła bluzkę. Miała czarny stanik i blade ciało pokryte pieprzykami. Kris odkorkował nowe wino. Pociągnęła zdrowo, krzyknęła: „I chuj!”.

Nikt na nią jednak nie patrzył, bo w pokoju zjawiła się staruszka w nocnej koszuli. Myśmy siedzieli nad winem, z półnągą dziewczyną. Kris wstał, ujął ją pod rękę: „Babciu kochana, babcia pójdzie, nic tutaj po babci”. Nie spodziewałem się po nim takiej delikatności. Wrócił i graliśmy dalej. Wkrótce stracił koszulę, ja siedziałem boso, Kobra

przeżył klatkę.

Druga szybko wyschła, pojawiła się kolejna, za oknem zapadał zmrok, a ja nie myślałem już o mamie, o ciosach przyjętych na kły ani o straconych komiksach, bo liczyła się tylko Olga, która siedziała w samych majtkach i staniku, odpalając fajkę za fajką. Nie będę wam truł o szczegółach. Była dokładnie taka, jak sobie wyobrażałem. Nie przeszkadzały ani fałdki na brzuchu ani sznyty na przedramieniu, ani nawet żyły idące przez ten fantastyczny biust. Gdy masz czternaście lat, wystarczy drobiazg, by świat nagle stał się rajem. Z rajy do piekła prowadzi jeden krok.

Więc siedziałem, próbując nie lampić się na Olę, i nawet nie wiem, czy bardziej chciałem, by na nią wypadło, czy bardziej bałem się o siebie. Straciłem już koszulkę i gdybym musiał zdjąć spodnie, no wiecie, rozumiecie, wszyscy zobaczyliby, jak bardzo kręci mnie Olga. Najpierw jednak Kobra musiał wyskoczyć ze spodni, tamta druga z bluzeczki, ta od aviomarinu spłynęła na podłogę. Kobra zakręcił butelką i, przysięgam, zrobił to specjalnie dla mnie. Olga westchnęła. Odłożyła papierosa, odgięła ramiona do tyłu i zaczęła gmerać przy staniku.

Tego wieczoru nie zobaczyłem cyków, lecz nauczyłem się, jak zabawne jest życie. Tym razem to nie babcia wparowała do pokoju. Olga pisnęła i sięgnęła po bluzkę. Kris zaraz podniósł ręce, a ja byłem zbyt ogłupiały, by cokolwiek zrobić. Milicjanci skuli Kobrę, tak jak siedział, i w samych majtkach zawlekli go na Szeroką, tam gdzie i dziś jest komenda. Nawet się nie wyrwał.

– 7 –

Przysiadźmy. Trochę opadłem z sił, zresztą to koniec wycieczki. Nie mam za wiele do powiedzenia, bo o czym tu jeszcze gadać? Kobrę wydała stara Ludwinowa, co chyba nikogo nie dziwi. Połapała się w końcu, że giną jej rzeczy z domu. Te bezcenne rzeczy, srebrne misy i tale-

rze z Włocławka, tak bardzo potrzebne babinie, która robi pod siebie. Znalazła sobie innych, uczciwszych do opieki. Mówią jednak, że gdy umierała na Bonifratrów, umierała długo i okropnie, cały czas pytała o tego miłego chłopaka w dżinsach, który był taki dobry dla niej, którego tak kochała. Gdzie on jest teraz? Dlaczego nie przychodzi?

Po co tu stoicie? Możecie sobie iść. Nigdy później nie widziałem Olgi, zresztą skończyłem podstawówkę i zdałem, wyobraźcie sobie, do technikum na Podbrzeziu. Chłopaki okazały się całkiem w porządku, tylko z kasą bywało ciężko, bo zamknęli te zakłady budowlane na Bohaterów Getta i mama długo szukała nowej pracy, za to ojciec zaczął handlować ciuchami na Grzegórkach i jakoś to szło. W drugiej klasie miałem pierwszą dziewczynę, trochę boksowałem i grałem w piłkę. Ożeniłem się, zrobiłem dwoje dzieci i się rozwiódłem. Może dlatego teraz oprowadzam wycieczki po Kazimierzu.

Kobra, pytacie, co z nim, a co ma być, durni jesteście? Wyrastał w klitce z rodzeństwem i pijaną starą, dwa razy powtarzał ósmą klasę, więc teraz na pewno ma gabinet w tych biurówcach na Czarnowiejskiej. Jak taki chłopak raz trafi do puchy, to zaraz tam wróci. Tak właśnie było z Kobrą. Wychodził, coś tam zbroił i znowu go puszkowali. Pobił, ukradł, wsadził kosę. Po jakimś czasie przestał mnie poznawać, ale ja długo rozpoznawałem jego. Jeszcze dekadę temu jakoś się trzymał, mocny, przybydlony, cały w tatuażach. Później jednak go przygięło, bo musicie wiedzieć, że Kazik zmienia swoich bardziej niż jakakolwiek inna dzielnica. Chłop na schwał w rok staje się dziadem, żulem, melenem i nikt nie wie nawet, ile lat ma taki. To maska nałożona przez te mury, rozumiecie. Nie sposób poznać człowieka, a więc nikt nie zobaczy ścieżki, którą powędrował w nędzę. Idźcie już! Dajcie mi spokój. Nie chcę waszych pieniędzy! Szukacie Kobry? Proszę. Tam, o tam, widzicie tego żula? Grzebie za petem w koszu. Pomyślcie sobie, jaki jest wstrętny, jak śmierdzi i psuje obraz tego pięknego miejsca. Wstyd, by tacy ludzie chodzili po centrum Krakowa. Na pewno tak myślicie.

Boicie się, że was dotknie, że będzie taki usłużnie miły, jak tylko żule bywają, bo żul ma tylko głód, uprzejmość i złość, że powie: „Kierownik, nie będę ściemniał, dwa złote do piwa, bo tak mnie suszy”, a wy mu dacie te dwa jebane złote, żeby się od was odpierdolił. Chcecie wiedzieć, co stało się z Kobrą? Zagadnijcie tego żula, dajcie mu dwa złote. Zapytajcie, jak się nazywa.

Może to Kobra. Może nie. Jaka różnica?

O_KAZ

Literatura o Kazimierzu

Literackie portrety miast lub dzielnic to nie tyle dokumenty, zdające sprawę z historii danego miejsca, ile bardziej teksty stwarzające klimat. Miejska fikcja pozwala lepiej zrozumieć przestrzeń, w której żyjemy, ale również daje szansę, by wymyślić ją na nowo. Zboczyć ze znanych opowieści, zabłądzić i obudzić się naprzeciwko budynku, którego wcześniej nie widzieliśmy.

Co XXI-wieczna literatura może powiedzieć o Kazimierzu? Jak go traktuje? Czy dzielnica Krakowa to główny bohater, zagubiona postać z drugiego planu czy raczej tło wydarzeń? Wymyśliliśmy O_KAZ, żeby móc o tym opowiedzieć. Zaprośiliśmy do współpracy trójkę pisarzy: Weronikę Murek, Łukasza Orbitowskiego i Dominikę Słowik, oraz poprosiliśmy ich, by potraktowali nasze pytania jak bazę, punkt startowy.

Łukasz Orbitowski – pisarz. Autor sześciu powieści, m.in. *Inna dusza*, *Szczęśliwa ziemia*, *Tracę ciepło*. W 2016 otrzymał Paszport Polityki. Dwukrotnie nominowany do Nagrody Nike, raz do Nagrody Literackiej Gdynia. Na antenie TVP Kultura prowadzi program *Dezserterzy*. Wiecznie w podróży, gubi się między miastami. Przez przyjaciół zwany Potworem.

Festiwal Kultury Żydowskiej i kawiarnia Cheder powstały na krakowskim Kazimierzu, z inspiracji jego historią i kulturą. Bardziej niż świętem staramy się być procesem – procesem zmian w myśleniu i postrzeganiu żydowskiej kultury oraz zmian na samym Kazimierzu. Interesuje nas twórcza praca w dzielnicy i z dzielnicą, szczególnie że wydaje się ona dzisiaj nieco zagubiona i coraz mniej przyjazna mieszkańcom. O_KAZ to nasz nowy program literacki. Zapraszamy do lektury trzech opowiadań oraz na spotkanie z autorami.

Cheder, kawiarnia i dom kultury FKŻ, ul. Józefa 36, Kraków
www.cheder.pl, [fb:cheder.krakow](https://fb.com/cheder.krakow)

Projekt jest
współfinansowany
ze środków Gminy
Miejskiej Kraków.



kraków
CITY OF LITERATURE
UNESCO

Organizatorzy:

ТТТ
CHEDER



Partnerzy
medialni:

GAZETA
wyborcza

**RADIO
KRAKÓW**

ISBN 978-83-938285-6-2